# Przyjaciel Ludu.

ROK DZIEWIĄTY. **No. 23.** Leszno, *dnia* 3. *Grudnia* 1842.



*Zabudowanie włościanina litewskiego.*

Nim powiemy słów kilka o zabudowaniach i życiu włościan litewskich, niech się nam godzi zacząć to napomknienie w duchu ludu, słowami wieszcza litewskiego (Adama M.), który mniéj więcéj trzymając się w swym wykładzie często źle pojętéj strony arystokratycznéj, wpada także i w zasadę ludową, szczególniéj gdy chodzi o jego Litwinów. „Powszechnie mówią“ — ozwał się w prelekcyi A. M. — „o nędzy ludu w wielu okolicach Polski; malują żywemi kolorami biedę tamecznego chłopa, który żyjąc w lichéj chałupie, doświadczając głodu, wystawiony jest jeszcze na razy batoga. Z kądże to jednak pochodzi, że do czasów upadku Polski, w pieśniach gminnych tego ludu nie słychać żadnéj skargi? Czemu ten chłop pierwéj nie żalił się nigdy na ucisk, głód, batóg? Oto, że dopiero kiedy zabraknie siły moralnéj, człowiek zaczyna czuć cierpienia fizyczne; dopóki chłop polski widział szlachcica wszędzie obok siebie, przy gospodarce, na polowaniu, na wojnie; dopóki razem miał potrzebę jego wydatków na posługę kraju, na konie, na oręż; póty bez szemrania pozwalał mu sprzedawać plon swojéj pracy, miał siły znieść niedostatek. Ale kiedy ten szlachcic przestał zaglądać do chaty chłopa, polować z nim i biegać konno; kiedy otoczył się towarzystwem cudzoziemskiém, za zboże włościańskie sprowadzał z zagranicy pojazdy, stroje, sprzęty, których potrzeby i użytku chłop nie mógł pojąć, wtenczas nędza jego stała mu się gorzką, począł umierać z głodu! Wszakże wiadomo, że Tatarzy mniéj jedzą od Włościan polskich; Trapiści mniéj jeszcze od Tatarów, a przecież dobrze się mają, bo utrzymuje ich siła moralna.“

„Podobnie daje się wytłumaczyć rzecz i co do batoga; bolesność kary, zależy wiele od wyobrażenia, jakie się do niéj przywięzuje. Jednego z książąt azyatyckich, który zdobywszy cztery królestwa, nie zdołał podbić Japonii, wielki Mogół kazał rozciągnąć przed wojskiem i wyliczyć mu sto nahajów. Wojownik, zdobywca królestw, nie uważał się jednak za ukaranego srodze, bo wstał tak dostojny w oczach innych, jak był przedtém, a ból kładł na równi z bólem ran odnoszonych na wojnie. Bojar rossyjski za czasów Iwana i nawet późniéj, nie poczytywał sobie za hańbę odbierać razy

kija z ręki panującego, nie zniósłby téj kary, umarłby ze wstydu, gdyby była mu zadana od cudzoziemca. „Włościanin w Polsce przebaczał „gwałtowność rycerskiemu Sarmacie, ale smagany harapem przez szlachcica eleganta, po„czuł ból w głębi duszy.“

„Reformatorowie teraźniejsi ciągle mówią tylko o nędzy fizycznéj ludu sławiańskiego; nie mają na względzie jego cierpień moralnych.“

„Nigdy ten lud nie usłucha człowieka, któryby rozdawał mu ziemie i pieniądze, jeżeli ten człowiek nie będzie miał moralnéj wyższości nad nim, w dobrém lub złém. Nikt nie zaimponuje chłopu polskiemu, ani bogactwem, ani żadnym tytułem i blaskiem, ale zawsze będzie nim władał, kto go potrafi przejąć zapałem, lub strachem.“

Nie tu jest miejsce rozbierać uwagi dziejomówcy słowiańsko-gallowskiego (bo rzecz słowiańską Gallów wykłada mową). Napomkniemy tylko, (jak jest zamiarem niniejszego artykuliku) o *dzisiejszym stanie* biednych naszych Włościan, mianowicie na Litwie.

Ciemnota u *ludu*, ciemięztwo u *panów*, — oto jest główna cecha stron tamtych! Boleśnie jest Polakowi powiedzieć na swych ziomków: „źli jesteście!“ — ale cóż wtedy począć, gdy tak jest istotnie. Czyż chwalić, co tego nie godne? Czyż pobłażać, cierpieć (tolerować) tam, gdzie wycierpieć niepodobna, najzimniejszemu nawet, najpobłażliwszemu obojętnikowi? Nie jesteśmy zapaleńcami; nie chcemy zrobić z *ludzi ludu*, literatów uczonych, jeniuszów i t. p.; wiemy, że niepodobna nawet *od razu* tylko ucywilizować, aby stanąć na równi z ludem w innych krajach oświeceńszych, ale serce rozrywane bywa boleścią niekiedy do rozpaczy dochodzącą, widząc poczciwy lud nasz na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie, zabobonny, w półzwierzęcy, półdziki, wpółspodlony, a w całości przygnieciony, rozpiły i t. d. Zwą panowie *ludzi z ludu* lub *Chamami*, lub (dla pokazania, że im wyświadczają łaskę zwąc jeszcze *ludźmi*) nazywają *ludźmi*, z epitetem MOI. „*Mego człowieka* przedałem za 100 rubli sreb. na *osiedlenie* Rządowi lub N. N. (na kolonię).“ — „*Moi ludzie* pouciekali mi do innego obywatela, kazałem ich okuć w kajdany i *zapędzić* do noszenia kamieni z pól, aż do folwarku mego,“ (a to pół mili drogi, i trzeba schylać się co chwila w łańcuchach, aby z pomiędzy *roli*, tu i tam wydobyć kilka kamieni). Widziałem sam, podobne (niepodobne do wiary) rzeczy, na własne oczy w Zawilejskiém. Jeden nawet *pan* takie dał świadectwo zasług lokajowi: „Władysław Jagiełło, służył u mnie *za człowieka* i t. d.,“ jak gdyby można służyć *za źwierzę!!* Prawda! bo też ich panowie mogliby służyć Linneuszowi za jakowyś osobny rodzaj zwierząt! I możeż się nazwać ten kraj cywilizowanym? Ludy i narody, kłócą się o wolność Murzynów, a nie wiedzą, że w pośród oświeconéj Europy, dzieją się barbarzyństwa, bezprawia, niewola, przedaż i handel *ludźmi*; ludźmi nawet pełnémi najlepszych *zarodków* i *zdolności*, ludzi lepszych niż ci, którzy ich uciskają lub przedają. Iluż dowodów szlachetności ludu litewskiego i wołyńsko-podolskiego, sam byłem świadkiem, lub działającą w dramacie nie jednym osobą!! Ileż dowodów uczucia własnéj godności ludu naszego złożyćby mogli, a poniekąd już złożyli, ci, co pieszo między nim chodzili, co między ludem długo przebywali, jak Zorijan Dołęga Chodakowski (Adam Czarnocki), Wojcicki, Suzin, Czeczot, zacny Goszczyński i tylu innych. Byłem raz w przykrém położeniu: głodny, umykać musiałem z miasteczka małego, zewsząd objętego płomieniami. Konie i powóz stały za miasteczkiem noc całą, a ja głodny, długi czas nic nie mający w ustach i zdrożony, nie mogłem wyrobić w sobie tyle *niesumienia*, żebym przerażonych pożarem mieszkańców prosił o jadło. Spostrzegam, jakby cudem jakim, zesłaną starą niewiastę. Chcę u niéj kupić kęs chleba; odpowiada, że nie ma nic przy sobie, gdyż wraca z miasta. Ale poszła o milę do domu, wróciła w parę godzin, pieszo, i przyniosła w koszu sér, ogórki, sól i chléb gruby, jak ich umysł, a z taką dany szczerotą i prawością, jak szczere ich serce, jak prawa ich dusza! Daję za to pieniądze; oburzyła się poczciwa kobieta na mą jakby jałmużnę. I wartem był tego za to, żem się nie poznał na poczciwości prostéj, prostego ludu naszego!! „Jakto Panie? Możnaż co brać od podróżnych i głodnych ludzi?.. A niech mnie i moich wnuków Bóg od tego broni!...“ Chodźcie tu bogacze, i przekonajcie się, jak ten kęs twardego, grubego chleba z rąk prostéj kobiety i brudnéj, staréj, obdartéj, milszym był dla mnie (i milszym byłby dla każdego myślącego człeka), nad wszystkie wasze stoły pyszne, uginające się pod srebrnémi serwisami!!...

W drugiéj przejażdżce mojéj miałem *Żyda* za woźnicę. Gdy ten, niegrzecznie ozwał się do chłopa, aby mu *wrota wsi* otworzył, uczuł to pogardliwe wezwanie wieśniak, i z całą dumą i poznaniem godności własnéj odrzekł, iż „nikt mu nie ma prawa rozkazywać, i że on Żydowi nigdyby nie usługiwał, *nawet za wódkę!*“

Inny znowu wieśniak, położył na konfessyonale chustę z kilkunastu złotemi, gdy się spowiadał. Skradziono mu. A on nie ubolewał (mimo całéj swéj biedoty), że tak wielką poniósł stratę, ale bolał nad tém, iż *złém położeniem* stał się przyczyną drugiemu do kradzieży w kościele, przy spowiedzi! „To nie moja Panie strata, ale jego.“ Otoż prawość i niedbanie o siebie tam, gdzie *brat* jego, *zły* nawet, traci!

Nieskończyłbym, przytaczając mnóstwo dowodów. Wiem tylko najautentyczniéj, iż jedne-

go obywatela, więźnia stanu, rozstrzelano publicznie. Teściowa jego, dowiedziawszy się o tym okropnym wypadku, w pierwszym żalu nie wiedząc co począć, zwołała chłopków we wsi i opowiadając szczegóły rozdzierające serce, zakończyła słowy: „Módlcie się za Pana!“ Odrzekli jéj na to załzawieni wieśniacy: „On jest świętym!!! nie my za niego, ale on za nas modlić się będzie!!...“ O cnoto! o ludu!!...

I czegożbyś nie zdziałał z podobnym ludem? i czegożbyś zdziałać nie powinien dla takiego ludu?... Mimo uciemiężenia, mimo upodlania, wierzcie mi, iż on jest jeszcze lepszym od wielu, a przynajmniéj od niejednego z was!!... Raczcież więc zajśdź niekiedy do ich *kurnéj* (1) chaty; usiąśdź z nimi w *świetlicy* (2), kupić im *Szkółkę niedzielną* lub *Kmiotka* (3); raczcie założyć dla nich szkółki, sale ochron wiejskich (4), starajcie się dla nich o poczciwego Plebana, powypędzajcie ze wsi Żydów, co ich rozpajają i ostatni im grosz wydzierają; znieście połowę przynajmniéj gorzelni swoich, a w każdym kmiotku znajdziecie przychylniejszego człowieka, niż najbliższy i najmilszy sąsiad wasz!!... Tymczasem dziś, gdzie tylko pójdziesz, wszędy ujrzysz niedolę kmiotka a dostatek obywatela i chęć ciągnienia zysku z każdéj rzeczy. Z Wilna naprzykład, na drodze prywatnéj do Rukojń, na 14 wersztach drogi, 23 karczmy z Żydami czatują na biednych wieśniaków! Nim chłopek dojedzie z produktami do miasta, już nic niema, prócz wódki w głowie; więc się tylko w mieście prześpi, a głodny i goły do domu wraca! 23 jednak rodzin Izraela, na tak małém przestworzu ziemi żyje z tego zarobku, a kilkunastu posiadaczy ziemskich, których grunta przytykają do drogi, stawiają i stawiają nowe coraz karczmy! Cóżby na to powiedział poczciwy Prał. Brzostowski, do którego tylko co wspomniane należały niegdyś Rukojnie? On to przecież chciał zaprowadzić w dobrach swych (tak jak wiekopomny Staszic) Rzeczpospolitę *drugą* w Rzeczypospolitéj polskiéj. Jego *gmina* ludu, sama zawiadowała swémi interessami, sądzeniem spraw, winnych, dochodami, żołnierką i t. d. Włościanie mieli swój arsenał, siłę zbrojną, musztrę, odbywali kolejno straż wojskową. Był to ledwie że nie pierwszy tam zarodek, który z patryotyzmu, dążył do uwolnienia zupełnego włościan, którzy jednak nie są tu jeszcze tyle *poddanymi* i tak przez Panów uciskani, jak na Wołyniu, Podolu, Ukrainie, lubo gorzéj się mają od tamtych, co do bytu i materyalnego i umysłowego.

Wprawdzie, możnaby tu dodać na pochwałę Litwinów, iż z nich niektórzy (w kilku guberniach) w 1818 r. na sejmikach w Wilnie, silnie obstawali za uwolnieniem Kmiotków; po wielu nawet rozprawach, podano prośbę do Rządu, o ustanowienie w tym względzie właściwych praw i rozporządzeń. Odmówiono im! O wy szlachetne dusze, przyimcie tu hołd winny! A jeśliście złych zostawili potomków, oby nieba przynajmniéj zmiłowały się nad biednym ludem, i z rąk podwójnych ciemiężców wyrwały!...

Pińsk, 1841 r.

*R. P.*

(1) Chata kurna, dymna, dymiąca, albo dymnik, bo na Litwie nie masz kominów, a dym, (jak na rysunku) oknem się wydobywa.

(2) *Świetlicą* zowie się izba, w któréj niema pieca dymiącego, gdzie wiszą obrazy i t. d., ale to tylko bywa u wieśniaków bogatszych.

(3) *Szkółka niedzielna* i *Kmiotek*, dwa pisma dla ludu, wydawane w Lesznie przez Günthera zacnego, i w Warszawie przez Orgelbranda Żyda. A gdy *Żydzi* czują tego potrzebę, czyż Polacy nie uczują? zwłaszcza Polacy prawi??...

(4) Czytaj o *ochronach wiejskich*, artykuł Cieszkowskiego Augusta, drukowany w Bibliotece warszawskiéj z r. 1842., i osobno wydany.

## August III., król polski.

Załączony tu obraz znajduje się we Lwowie w zakładzie narodowym imienia Ossolińskich, jako dar od księcia Henryka Lubomirskiego, tegoż zakładu kuratora literackiego (*). Ma ten obraz 4 stopy i 7 cali wysokości, a 3′ i 4″ szerokości; i było o nim mniemanie i podpis, że jest pendzla Mengsa, ale inaczéj przekonywa znajdująca się rycina w tymże zakładzie, przedstawiająca Augusta IIIgo równie w polskim stroju w całéj postawie, z małemi odmianami do tego obrazu olejnego podobna, z podpisem: „Augustus III., Rex Poloniarum, Elector Saxoniae. — L. De. Silvestre prim. pict. R. pinx. — L. Zuchi sculp. R. sculpsit et excudit Dresdae cum Privil. S. R. Mtis.“

Kiedy książę saskie, August IIgi, porzucił wyznanie augsburgskie i przeszedł do obrządku łacińskiego dla dostąpienia tronu polskiego; mówiono: żeby można wszystkich książąt wyznania ewangelickiego nawrócić do kościoła katolickiego, po kolei wybierając ich na tron polski; już Augustowi IIImu niepozostało nic więcéj do pozyskania serca Polaków tamtego czasu, jak ogolić głowę, i ubrać się w strój polski, w żupan i kontusz na wyloty; i tak go ten obraz przedstawia, w ubiorze koronacyjnym.

Dwa przysłowia przybyły do polskiego języka z panowaniem domu saskiego w Polsce; pierwsze: „Za Sasa, popuszczaj pasa!“ wskazuje, jak żarłocznie i zbytkownie za tego panowania jedzono i pito; i wpośród tego hulaczego życia, o uporządkowaniu i o obronie kraju zupełnie zapomniano. Drugie przysłowie: „Ten do Sasa, a ten do lasa,“ wskazuje dwa stron-

(*) Dany imieniem hrabiego Potockiego Leona.

nictwa, z których jedno Sasa chciało utrzymać na tronie, a drugie Leszczyńskiego, tu od leszczyny lasem nazwanego.

Zaś, jak zawsze Polacy do rodzin łagodnie i miłościwie u siebie panujących byli przywiązani, to mocno dowodzi: że Konstytucyą 3go Maja Rodzina saska na tron wezwana była polski; a Napoleona uproszono, aby księstwo utworzone warszawskie dał królowi saskiemu, lubo Napoleon więcéj wojennego chciał obrać księcia, — jako dla Polaków stósowniejszego.

*A. J. R.*

---

## Stary Łatacz obówia.

(Ciąg dalszy.)

Nakoniec, przetrzymawszy wszystkie te ogromy nieszczęść, i sami staruszkowie podupadli byli na zdrowiu, a w ów czas z utęsknieniem wyglądali chwili, w któréjby śmierć do nich zawitać chciała, lecz ta rzadko na głos wzywających ją przybywa; dla tego też, po kilkanastotygodniowéj niemocy, nietknięty wątek ich życia, na nowo nielitościwe dla nich parki snuć, na nowo zwijać zaczęły. Pierwszy zaraz dzień powrotu ich do zdrowia, był dla nich dniem nowego umartwienia, bo zadłużywszy się pod czas choroby, zmuszeni zostali na zaspokojenie wierzycieli, zastawić kawał z pozostałego im gruntu, resztę zamyślając własną uprawiać pracą, aby choć przy suchym, lecz własnemi rękami zarobionym kawałku chleba, ostatki wieku swego przeżyć mogli.

Lecz w krótce nastąpiła owa okropna siedmioletnia wojna, a ta, równie dla nich jak i dla tylu innych nieprzeliczonych familij, stała się ostatnią upadku przyczyną, i ostatniéj nędzy początkiem: coraz bowiem nowe, a coraz uciążliwsze trzeba było opłacać podatki wojenne, które zarówno zwycięzcy jak i zwyciężeni wydzierali; a niemając pieniężnych zapasów, trzeba było coraz nowe zaciągać pożyczki, i coraz uciążliwsze od nich opłacać lichwy, które przez zatamowanie handlu i przeszkodzenie około roli pracy, do tego były doszły stopnia, że niekiedy przenosiły same nawet pożyczone kapitały. Niemogąc przeto wszystkim tym ciężarom wydołać, biedni staruszkowie zmuszeni nakoniec zostali oddać swe grunta wierzycielom, dla wystawienia onych na publiczną sprzedaż. W ten czas to już zupełnie do ostatecznéj przywiedzeni nędzy, zamyślali opuścić rodzime swe strony, i u obcych szukać przytułku i schronienia, lecz szczęściem dla nich, znaleźli go w téjże saméj gminie, u pozostałych jeszcze z sercem litośném sąsiadów, którzy, lubo sami zaledwie obecnym potrzebom wydołać byli w stanie, uczynili jednak, stósownie do swojéj ostatecznéj możności, pomiędzy sobą składkę, na zakupienie dla nich, niezamieszkałéj na ustroniu chatki, blisko o mil dziesięć odległéj.

Tam to Berta całe dni a czasem i noce na przędzeniu trawiła, ażeby się stać mężowi jakąkolwiek pomocą w załatwianiu potrzeb domowych. Marcelli zaś ze swéj strony, ponieważ się już czuł być zbyt osłabionym, aby się mógł około roli krzątać, zajął się naprawianiem starego obuwia. Odtąd też go inaczéj nie nazywano, jak tylko *starym obówia łataczem*, starano się wszakże, ażeby zawsze miał co do czynienia. Jednakże, pomimo niezmordowanéj pracy obojga tych ludzi, przy ciężkich i drogich czasach, zaledwie tylko tyle byli w stanie zarobić, ile im na skromne wystarczyć mogło życie. Nigdy im więc nic nie pozostało, aby sobie jakąkolwiek sprawić mogli odzież, dla tego też ta, którą mieli na sobie, tak już była z nich opadła, że się w niéj nawet w kościele pokazać nieśmieli.

W takim to stanie były rzeczy, kiedy Marcelli czytając modlitwę, i wiedząc, że niedostatek odzieży najbardziéj dręczył serce jego żony, wybrał był na zakończenie nabożeństwa Ewangelią, która nas naucza: „że niepowinniśmy się zbyt troszczyć o rzeczy doczesne, ponieważ Bóg litościwy równie o nas, jak o krukach i lilijach polnych niezapomina, i równie ich jak i nas karmi i odziewa.“ Właśnie gdy skończył Ewangelią, kościelne się także ukończyło było nabożeństwo; lud zatém napowrót począł wychodzić i rozbiegać się po zielonéj około kościoła murawie. Podobny widok niemógł być dla Marcellego źródłem pociechy lub roztargnienia; patrząc bowiem na młódź wesołą i chożą, biegnącą w towarzystwie swych rodziców lub krewnych, przywodził sobie na pamięć przeszłego swego szczęścia obrazy, co mu bolesne w sercu zrządzało uczucia. Lecz w krótce tłumy ludu, zrazu zmniejszać się, a w końcu i zupełnie niknąć zaczęły; Marcelli też, lubo niezupełnie jeszcze od trapiących go wspomnień wolny, oparł się był o spruchniałą ramę, zaledwie się jeszcze kupy trzymającego okna, z którego zachwycający był widok, na znacznie wzniesiony pagórek, okryty leszczyną, nad którą kilka wspaniałych i rozłożystych panowało włoskich orzechów. Pod jednym z tych ostatnich, odpoczywał jakiś podróżny, mający na plecach skórzany tłomoczek, a w ręku kij z kilku lasek dokupy splecionych. Lubo obówie tego człowieka niezmiernie kurzem okryte, dowodziło, iż drogę pieszo odbywać musiał, przystojna jednakże odzież onego, okazywała, że niedostatek niekoniecznie do podobnego rodzaju podróżowania musiał go był zniewalać. Po niejakiéj chwili odpoczynku, podróżny ów położył obok siebie laskę, a rozpiąwszy zdięty z ramion tłomoczek, wydobył z niego niejakiś posiłek, który, ile zdala rozpoznać można było, z wielkim pożywał apetytem. O ileż! biedny Marcelli, który dotąd jeszcze był nietknął swego suchego chleba, chciałby był być uczestnikiem téj jego, ile widać było, smacznéj biesia-



Oryg. 4. Stop. Prato wys. 3. 4. szeroki.

*August III., król polski.*

dy! W krótce podróżny chowając reszty pozostałe od swego śniadania, wydobył sztukę jakiéjś pięknéj materyi, któréj, z widoczną oznaką zadowolenia, przez niejaką chwilę się przypatrzywszy, zwinął i napowrót do tłómoczka schował; spojrzał potém na wydobyty z kieszeni zegarek, włożył na ramiona tłómoczek, wstał, a rzuciwszy okiem na wszystkie strony téj prześlicznéj, którą opuszczał, okolicy, odszedł.

Biedni najmniejszéj nie zaniedbują okoliczności, od któréj się jakiéjśkolwiek w swojém nieszczęśliwém położeniu spodziewać mogą ulgi, chociażby nawet takowa, dla obojętnych ludzącém się tylko zdawała być samego siebie mamieniem... istném urojeniem...; z tego téż powodu, pomyślał sobie Marcelli: ponieważ podróżny, co pod témi siedział drzewami, wydawał mi się mieć postać swobodną, spokojną i szczęśliwą, pójdę więc i ja na tenże sam pagórek, wypocząć sobie pod témi drzewami, a może téż ów jedyny balsam dla dusz strapionych, dobroczynny sen, zamknie chociaż na chwilę moje ociężałe powieki... a tak... na chwilę przynajmniéj, nie tylko nieszczęść, ale może i głodu, zapomnieć dozwoli. Nic przeto Bercie, krzątającéj się przyrządzeniem na jutrzejszą pracę kołowrotka, nierzekłszy, wyszedł, a nim jeszcze przez krętszą ścieżkę doszedł był do owego miejsca, na którém przed chwilą ów podróżny spoczywał, spostrzegł, że tam coś w papier zawiniętego leżało; bieży zatém co prędzéj, przybywa, podnosi, i z wielkiem podziwieniem, za pierwszém papieru odwinięciem, cztery podwojne widzi Luidory; a gdy daléj ów papier rozkłada, nowe w nim wzrasta zadziwienie, bo spostrzega złoty łańcuch i krzyżyk prześlicznéj roboty, taki właśnie, jak dostatnie niewiasty dla ozdoby na szyi nosić zwykły. Zdziwiony coraz bardziéj tém wszystkiém, a nadewszystko mnogością złota, którego w szczęśliwych nawet chwilach życia swojego, nigdy tak wiele na raz nie posiadał, obejrzał po razy kilka każdą z osobna sztukę, długo jednę o drugą uderzał, i dźwiękowi się ich przysłuchiwał, nakoniec, wszystko tak jak wpierw było porządnie zawinął. Gdyby komu innemu, a nie Marcellemu, był się podobnie szczęśliwy wypadek wydarzył, nabyłby z nim pewnie o dalszy los swój spokojności; lecz on, uważając się jedynie za stróża i składnika cudzéj własności, dalekim się od niéj być zdawał: dla tego też i o spoczynku, dla którego na ten pagórek był wstąpił, zupełnie zapomniał. Wtém spostrzegł stojącą w oknie Bertę, mającą wzrok na niego zwrócony. W myśli zatém zasiągnienia od niéj jakiéj rady, dał jéj znak, aby do niego przybyła. Przybiega spiesznym krokiem ciekawością wiedziona żona, i coby od niéj żądał? skwapliwie bada. Oto, rzecze, rozwijając na nowo papier, znalazłem to wszystko na tém oto miejscu, i....— Przebóg! wszakto złoto! wszakto pieniądze! wykrzyknie z uniesieniem i radością Berta. Oh! co za szczęśliwe dla nas zdarzenie! Nieprawdaż, że to złoto? ten krzyżyk, te pieniądze? — Tak jest, złoto, odpowie z największą spokojnością Marcelli, a nawet, jeżeli się nie mylę, co do pieniędzy, to są podwójne Luidory. Co? podwójne Luidory! przerwie Berta, i wnet chwyciwszy za pieniądze, liczy je na swych dłoniach, jeden, dwa, trzy, cztery; ach! taką rzeczą ty masz ośm Luidorów? a krzyżyk, czy także jest złoty? — Tak rozumiem, odpowie zawsze spokojny Marcelli; będący nawet przy nim łańcuch, także ze szczerego zdaje się być wyrobiony złota. — O Boże! Boże! dzięki Ci największe za ten skarb tak wielki! zawoła Berta. A to ani chybi jakiś dobry anioł przyniósł to wszystko dla nas i tutaj złożył.... tak.... tak.... to zapewnie dobry anioł uczynił, a twoja dzisiejsza modlitwa zjednała ci u Boga łaskę, że ciebie do znalezienia tego skarbu przeznaczył. Ach! zlitował się przecież Bóg miłosierny nad nami, i niezapomniał o nas, jak o owych ewangelicznych krukach i lilijach polnych.... Otoż więc znowu jesteśmy bogaci. Potrzeba tylko dobrze tym skarbem rozrządzić.... Za jeden tedy pieniądz, sprawimy sobie odzież, wygodną i ciepłą, a nawet i nieco porządną. Za drugi zrobimy sobie zapas rozmaitéj żywności. Za trzeci schludnych sprzętów, naczynia stołowego i do kuchni. Za czwarty.... oj nie! czwartego potrzebaby na wielki nieprzewidziany wypadek zachować.... ale cóż! kiedyby się pościel i krówka nam przydała.... lecz nie, nie, niepotrzeba zbytkować, i w szczęściu potrzeba się umieć miarkować.... tak, tak, czwarty więc podwójny, jak mówisz, Luidor, i krzyżyk z łańcuchem, zachowamy na przypadek, broń Boże! choroby lub innego jakiego nowego nieszczęścia. No i cóż ty na to Marcelli? czy umiem w potrzebie być dobrą i przewidującą gospodynią? czy dobrém będzie takie rozporządzenie?... — Mąż, który ciągle ze spokojną litością przypatrywał się oznakom radości swéj żony, z uśmiechem jéj rzecze: Tak, wszystkoby to było bardzo dobrze, gdybyśmy tylko tego skarbu byli posiadaczami. — Jakto? zapyta ze smutkiem Berta, albożeś ty tego nie znalazł? lub czy wiesz, kto to uronił? wszakże, ani na pieniądzach ani na krzyżyku, lub obwinięciu onych, żadnego nieupatruję znaku, a więc do tego należyć powinny, komu Opatrzność dozwoliła je znaleść. — Tak, prawda, że żadnych to wszystko nie nosi znaków, jednak ja się domyślam, kto tego jest panem. — Jako? ty się domyślasz, zapyta, coraz bardziéj zasmucona a razem zdziwiona Berta. — Tak jest, domyślam się, odpowie ze solennym wyrazem twarzy, Marcelli. Należy to zapewnie do podróżnego, który przed chwilą pod tém odpoczywał drzewem. Tak, on to niechybnie, przez nieuwagę, uronił ze swego tłómoczka. — Berta z niespokojnością i nadzieją: Ależ ten podróżny niemało musi posiadać takich

sztuk złota, i takich krzyżyków, kiedy dotąd swéj zguby niespostrzegł; niewiele zatém strata tego wszystkiego szkodyby mu przyniosła; kiedy tym czasem dla nas.... o Boże! wszystkiém prawieby się stała, gdybyśmy ją dla siebie zachowali! — Prawdę mówisz Berto, znaczneby to dla nas było bogactwo, gdybyśmy się odważyli przy sobie je zatrzymać: ale zarazem, ileżbyśmy byli nieszczęśliwszymi, niż w obecném naszém jesteśmy położeniu, bo wierzaj mi Berto, że gdybyśmy ulegli pokusie, i podług twojego zdania, jedną część tych pieniędzy użyli na zakupienie sobie lepszéj pościeli lub odzieży, czyżbyśmy mogli tak spokojnie zasypiać, jak dziś na garści barłogu? czyżbyśmy mogli z weselszém, jak dziś, czołem, w tych oto łachmanach, wejść do świątyni pańskiéj? O! nie Berto, nie; precz więc od nas takowa myśli! za którąbyśmy się skrycie trapić musieli, pomnąc, że przyjdzie chwila, w któréj trzeba będzie zdać ścisły rachunek ze wszystkich spraw życia naszego. I cóżbyśmy na ów czas znaleźli na usprawiedliwienie nas z tego postępku, który ci w téj oto chwili, nieuczciwa żądza podsyca? Możebyśmy się przed Najwyższym Sędzią sędziów, ostatnią naszą nędzą zastawić chcieli? lecz Berto! w nędzy to, w nędzy naszéj, tém więcéj, jeżeli tak mówić można, znajdujemy pobudek do zostania poczciwymi: mieliżbyśmy się dobrowolnie wyzuwać z ostatniego bogactwa, które nam jeszcze w naszym nędznym pozostaje stanie? z tego to z niczém nieporównanego bogactwa, *spokojności sumienia*? O! nie, wierzaj mi Berto, że i bez przywłaszczenia sobie tego oto cudzego złota, z głodu niepomrzemy. Obejrz się w około nas, spojrzyj na te, obfitym plonem zasłane niwy! oto w krótce nastąpią żniwa, po których niezbronno nam będzie zbierać, przez żniwiarzy potyrane kłoski, a Pastor nasz miłosierny, nasz Sołtys i nasi poczciwi sąsiedzi, czyż nas nie wesprą kilku miarami zboża z dobroczynnego osepu? O! wierzaj mi Berto, wszystkie te nieokazałe wprawdzie i niedostateczne dla kogo innego zasiłki, dla zachowujących spokojne sumienie, są skarbem nierównie większym i milszym, a niżeli cudze złoto; precz więc z niém, precz! niechaj co rychléj wraca raczéj do swego pana, chociażby i bez użytku w okutéj pleśnieć miało szkatule, a niżelibyśmy mieli dopuścić, żeby nam miało rujnować chociaż na chwile spokojność naszego sumienia. Kłoski! kłoski! Berto, chociaż cierniem pokaleczoną i krwią zbroczoną zbierane dłonią, zdołają nas i bez złota wyżywić. — Tak jest, rzekła upokorzona, ale zawsze smutna Berta, zdołają nas od głodu ochronić, ależ odzież, odzież na nadchodzącą zimę, za co sobie sprawić zdołamy? — Niebo nas i w tém bez pomocy nie zostawi, odpowie Marcelli. Zapomniałażeś co dzisiejsza opiewa Ewangelia? „Nietroszczcie się o to, albowiem Ojciec niebieski ma o was pieczę.“ Wszakże, gdy temu podróżnemu powrócę jego zgubę, nie zostawi mnie pewnie bez nagrody, na którą, lubo tym moim prostym postępkiem wcale nie zasługuję, lecz na ten raz chętnie ją i z wdzięcznością nawet przyjmę, abym ci za nią mógł sprawić odzież, któréj niedostatek tak cię okropnie trapi. — Lecz gdzież się spodziewasz znaleść owego podróżnego? wszakże już dawno musiał się z tąd oddalić, i kto wie w jaką puścił się drogę? zapyta z niepewną nadzieją Berta. — Poszedł on dużym gościńcem, odpowie Marcelli, prowadzącym do owéj przyjemnéj doliny, o pół mili z tąd odległéj, do któréj, jak ci wiadomo, idąc ścieżką nad strumieniem pomiędzy górami, zaledwie pół ćwierci mili jest drogi; udam się przeto tą stroną i pewny jestem, że go jeszcze na czas wyprzedzę. Przynieś mi tylko co rychléj moje dereniową laskę, a ja tym czasem przymocuję sobie chodaki. — Kiedy więc na ten koniec usiadł na ziemi Marcelli, i około swego obuwia majstruje, na twarzy powracającéj Berty spostrzegłbyś z łatwością, że jéj się ze znalazkiem męża nie z łatwością rozstawać przychodziło; rzekła więc do niego, oddając mu laskę: a gdy już tego podróżnego niespotkasz, cóż na ów czas z tém bogactwem uczynisz Marcelli? — Hem! na ów czas to będę musiał.... zatrzymać to wszystko dla siebie, nieprawdaż? przerwie mu skwapliwie żona. — Nie, odpowie z surowém na żonę wejrzeniem Marcelli, na ów czas, zastawię moją starą biblią, lub dopóty dzień i noc będę pracował, dopóki nieuzbieram tyle, ile wydawca gminowego dziennika żądać będzie, za trzykrotne ogłoszenie wiadomości o znalezionych pieniądzach i kosztowności. Wtém wstał, i ściskając rękę Berty, bądź zdrowa, rzecze, bądź zdrowa, i nietroszcz się, jeżliby mnie coś nieprzewidzianego dłużéj nieco nad czas do odbycia téj drogi potrzebny, zatrzymało; wszakże mi się nic złego przytrafić nie może. Wiemy, kiedy się rozstajemy; ale niewiemy, kiedy się napowrót zobaczymy: to zwyczajny bieg rzeczy. Raz jeszcze, bądź zdrowa! Wstrząsnął jéj ściśniętą rękę i odszedł dość szybkim, jak na wiek jego, krokiem. — Długo Berta na jedném miejscu smutna i zawstydzona stała nieporuszoną, bo ją wewnętrznie trapić zaczynało, że tak nie jednostajny z mężem okazała sposób myślenia w tém, co się znalezionych przez niego rzeczy dotyczyło, a po chwilowéj rozwadze i przekonaniu się, że istotnie widok tego bogactwa, upodlające w jéj serce wzbudził był żądze, w chęci zasłużenia u męża na przebaczenie i pozyskania napowrót drogiego dla niéj jego szacunku: pospieszaj! pospieszaj! krzyknie za nim z zapałem, pospieszaj! jak tylko możesz najprędzéj; niechaj co rychléj to przebrzydłe złoto wróci do swego pana; niechaj dłużéj nie zaraża wzroku mojego, ani rąk twoich! dość, że mnie już raz o grzech przywiodło! pospieszaj więc kochany Marcelli! ale zarazem niezapominaj być ostro-

żnym przebywając ten potok, co przedziela nasze wzgórki od téj pięknéj doliny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## Karmel.

(Dalszy ciąg.)

Nie daleko od klasztoru, zstępując z góry ku morzu, pokazują ruiny dawnego XX. Karmelitów klasztoru, zbudowanego przez Prospera w 1632 roku, a zburzonego przez Abdalę Paszę; jeszcze dotychczas pozostał refektarz wskale wykuty i głęboka cysterna: klasztor ten wisiał na pochyłości opoki i po większéj części składał się z jaskiń. Nieco daléj, zstępując z góry, znalazłem prześliczną grotę, która się zowie „Szkołą proroczą,“ ma długości 24, a szerokości 14 kroków, wysoka na jakich 9 łokci, ściany i sklepienie nadzwyczaj pięknie i gładko wyciosane, a na nich dają się postrzegać hebrajskie, greckie i łacińskie napisy, ale tak zatarte, że nic dojść nie podobna: po obu bokach, wzdłuż jaskini, znajdują się pięknie z tegoż kamienia wyrobione ławy, a z lewéj strony od wchodu widać wydrążenie w kształcie malutkiéj celki, w któréj wedle podania, nocował czasem Ś. Eliasz, kiedy mu niepogoda przeszkadzała wrócić do jego groty na szczycie; w téj bowiem wielkiéj grocie nauczał Mąż Boży synów proroczych. Kiedy jeszcze stał klasztor Prospera, wtedy ta jaskinia była kaplicą N. P. Maryi; ale teraz ją zajmuje Santon i urządził w niéj meczecik, do którego Moślemini często przychodzą na modlitwę i przywodzą w ofierze barany, lub inne rzeczy na utrzymanie Santona, który się nie znajdował w czasie mojéj bytności, bo, przestraszony grassującemi słabościami, ustąpił na chwilę w inną stronę. XX. Karmelici mają zawsze klucz do téj wielkiéj groty i mogą ją nawiedzać wedle upodobania, nawet przy bytności Santona. Zaraz koło „Szkoły proroczéj“ znajduje się jaskinia, którą podanie nazywa: „Grota Elizeusza,“ z przyczyny, że tu pierwéj mieszkał, nim po Ś. Eliaszu objął pieczarę. W téj grocie Elizeusza, widziałem sześciu kupców Francuzów, przychodzących do zdrowia po strasznéj febrze, co ich dręczyła przez pół roku: patrząc na nich do tyla wyniszczonych, że bardziéj były podobni do cieni powstających z grobu, jak do ludzi; mrowie mię przeszło i dziękowałem Bogu, żem dotychczas nie uległ téj okropnéj chorobie, bo nie tylko strata życia, ale i strata czasu przy udzieloném kilkumiesięczném pozwoleniu, byłaby zabiła moje przedsięwzięcie zwiedzenia miejsc świętych.

Z jednym księdzem Karmelitą udałem się do źródła, leżącego o półtory godziny od klasztoru, w prześlicznym rozdole dwóch skał, zwolna spadających ku morzu; woda lekka i zimna, dość wysoko wytryska z opoki i nazywa się: „Źródłem Eliasza“, bądź dla tego, że uderzeniem kija miał utworzyć Prorok to źródło, bądź, że z niego czerpał napój. XX. Karmelici utrzymują, że to źródło wysycha, jak tylko Zakonnicy ustąpią z góry Karmelu, a za ich powrotem znowu woda przybywa. Takowe podanie powtarza i lud okoliczny, bo od wszystkich wyznań Karmelici są tu szanowani, jako prawi i jedyni stróże téj świętéj góry. Wśród ogrodów i gajów, gdzie często pasły się trzody, postępowaliśmy w górę i o dwieście kroków widzieliśmy piękne ruiny z ciosu; był to dawniéj klasztor wzniesiony za czasu wypraw krzyżowych, przez Brokarda, drugiego Karmelitów jenerała: można widzieć ze szczątków ogrom i piękność téj budowy, bo spodnie sklepienia lochów jeszcze trwają w całości. Przy tych ruinach znajduje się drugie źródło, którego woda bardzo nie znacznie sączy się ze skały w pięknie wyrobione łoże z tejże opoki. Ten rozdół nazywają: „Doliną świętą,“ gdyż po stromych jego ścianach mnóstwo dotychczas pozostało jaskiń, w których wedle podania żyli Prorocy i pierwsi Ojcowie Kościoła; nadto zowie się: „Jarem Męczenników“, bo Saraceni pomordowali tu zakonników i klasztor zburzyli.

(Dokończenie nastąpi.)

*Przy końcu pierwszego półrocza dziewiątego roku istnienia* **Przyjaciela Ludu**, *upraszam Szanownych Czytelników, aby prenumeratę na drugie półrocze roku dziewiątego w najbliższych księgarniach lub urzędach pocztowych ponowić raczyli, jeśli niechcą doznać przerwy w odbieraniu regularném numerów.*

**Ernest Günther**, *wydawca.*

*Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie.* (Redaktor: J. Łukaszewicz.)